

# Kronika tygodniowa.

Onegdaj spotkałem się w jednej z krakowskich kawiarni z kolegą po piórze. Pilnie coś pisał, mając pod ręką tom Encyklopedyi, naturalnie wydania niemieckiego, bo na polską, za czasów austriackich jakoś się nasi panowie przemysłowcy zdobyć nie mogli. Popijał przytem bardzo gorliwie morełówkę, której jest stałym wielbicielem, jak sam o sobie powiada, „aż do grobowej deski“.

Nie chciałem mu przeszkadzać, sam jednak zaprosiłem mnie, bym zajął miejsce przy jego stoliku, bo właśnie skończył pracę.

— Machnąłem, panie drogi — mówił — korespondencyjkę „od naszego specjalnego sprawozdawcy“ z Londynu... Pocztom się nie spieszy, trudno się zatem na list doczekać!... Cóż on mi zresztą może donieść więcej ponad to, co podają estatnie dzienniki zagraniczne?... Mam wiadomości pewne — wskazał przy tej sposobności na tom „Encyklopedyi“ — trochę może spóźnione, ale, co najważniejsze, nie potrzebuje sypać za fontanami szterlingów, a chyba pan wie, jak one teraz wysoko stoją!

— Bardzo się pan kolega wygodnie urządza! — ja mną na to.

— I, trzeba pann wiedzieć — prawil dalej — że robię to z takim przejęciem, iż onegdaj, opisując podróż okrętem przez Ocean, nabawiłem się morskiej choroby!... Ale też trzeba przyznać, że te teraźniejsze kawiarniane wódki nie mogą wytrzymać porównania z przedwojennymi!... Taka, dajmy na to, morełówka!... Przed wojną, były to delicye, teraz istna lura!

I westchnął głęboko, a i ja westchnąłem także, a po chwili rzekłem:

— Ciężka to dola, dziennikarstwo!... I ja jestem nieraz w tem położeniu, co i kolega...

— Zaskoczyła morełówka? — pytał ciekawie, ale z serdecznym współczuciem.

— Nie! — odparłem — Ale, podobnie jak kolega, śledząc w Krakowie, telefonuje czy telegrafuje do siebie bez drutu z Londynu albo Nowego Jorku, tak ja znowu, musząc oddawać kronikę prawie o tydzień naprzód, powinienem pisać o tem, co się stanie dopiero za dni kilka, a o tem nie wie nawet sam Wilson, ani Lloyd George!... Zatem musi się człowiek zwracać wstecz...

— Ma kolega jednak niatwione zadanie!... Wynotować zdarzenia z całego tygodnia, podać je odpowiednim sosikiem i gotowy „przegląd tygodniowy“, coś w rodzaju bigosu, podawanego w naszych restauracjach.

— Racya!.. Bigos, to także „przegląd tygodniowy“... Rozmowę niniejszą przytoczyłem z tego powodu, aby Szanowny Czytelnik i Czytelniczka nie dziwili się, że, choć już Wielkanoc dawno minęła, kronikarz żyje wspomnieniami z... Wielkiego Tygodnia, o samych zaś Świętach może zabrać głos dopiero w następnym numerze.

Dziś nie wie nawet, jaką nas w tym czasie niebiosa obdarzą pogodą, choć należy się spodziewać, że będzie pięknie ze względu na przysłowie „Jakie Zwiastowanie, takie Zmartwychwstanie“... Jednak nie jest wykluczonem, że może być inaczej... Święta Barbara nas przecież także zawiodła!

To jedno jest pewnem, że Święta będą „pod psem“, głodne, zimne (bez węgla) i suche (bez trunkowości) — ergo smutne.

Wielki Tydzień zaczęliśmy w Niedzielę Palmową, która w tym roku wypadła na dzień 29. marca, więc na okres, kiedy każdy z cjców rodziny ledwie dycha, ale pociesza się nadzieją, że pierwszy już za pasem... Niestety, razem z owym pierwszym są „za pasem“ i Święta, a Weronika, nie sobie nie robiąc z rodzinnej narady, o której była mowa w poprzedniej kronice, żąda ciągle nowych, dodatkowych kredytów.

Tłumaczę jej, że na nie brak mi pohrycia, gdyż budżet i tak zamykam stale deficytem, a ona na to:

— Wielka historia!... Ma państwo kilkanaście miliardów marek niedoboru, możemy sobie zatem pozwolić today na kilka stówek!... Co powiedzą znajomi, jeśli się ich niczem nie przyjmiemy!...

Na takie pytania zazwyczaj nie daję odpowiedzi, bo i cóż zresztą mógłbym powiedzieć, skoro każda niewiasta potrafi tak sprawę pokierować, że ostatecznie postawi na swoim.

Rzekłem tylko na odchodnem:

— Pogadam o tem z ministrem Grabskim, może on na to znajdzie jaką radę!

Trzeba bowiem wiedzieć, że właśnie w samą Palmową Niedzielę zjechał pan minister skarbu do Krakowa, aby się osobiście zetknąć z tutejszemi sferami handlowymi i przemysłowymi, wyjaśnić kwestyę regulacji finansów, wysłuchać życzeń tutejszej ludności,

zapewnić ją, że Rząd względem Małopolski usposobiony jest bardzo życzliwie i — co najważniejsze — przekonać się na swoje własne oczy, czy też jest u nas jeszcze co do opodatkowania. Ponadto w program wchodziły i obłady i bankiety na cześć warszawskich gości, bo przecież nie można pozwolić, aby między nami pomarili śmiercią głodową. Dopiero to miałyby pan poseł Nikodem Hryćkiewicz słuszny powód do urągania Galicyi, która „głodzi ministrow“.

Pana ministra przyjmowaliśmy z palmami w rękach, ale bez wiwatów, aby przypadkiem nie myślał, że nam jest zbyt dobrze i że się cieszymy z podwyższenia cel, podatków i t. d., prosząc o „jeszcze“...

Palmy owe nabywało się na cel bardzo szlachetny, bo na urządzenie „święconego“ dla żołnierzy na froncie. Tym razem Komitet pospieszył się i wagon rozmaitych specyaliów świątecznych odszedł na front na tydzień przed Wielkanocą, należy się zatem spodziewać że dojdzie na czas na miejsce przeznaczenia.

Na tensam cel nasi „patriotyczni i po obywatelsku usposobieni“ restauratorzy, kawiarnie i t. p., skorzali zawsze do ofiar, o ile to ich nie kosztuje, przeznaczili dziesięć procent od dziennego utargu w ową niedziłę, co powinno poważnie zasilić kasę Komitetu.

Rzecz prosta, że sami na tem nie ponieśli żadnej straty, owe dziesięć procent dolaczając gościom do rachunku. Dodać należy, że odbywało się to bez jakiegokolwiek kontroli ze strony Komitetu, a tak być nie powinno. Skoro już *nolens-volens* musiałem złożyć co najmniej kilka koron na ołtarzu publicznej ofiarności, niechaj wiem bodaj, że moje ciężko zapracowane grosze dostały się tam, gdzie należy.

Ciekawy jestem zatem, jaki też wynik finansowy miało to „opodatkowanie“ jedzących i pijących i sądzę, że, choć to nie w moim, ogłosi Komitet dokładne zestawienie. Wiem naprzykład, że w pewnym lokalu zebrano na ten cel około osiemset koron, a że podobnych zakładów (i to daleko większych!) jest w Krakowie ponad pięćdziesiąt, zebrana zatem kwota powinna być bardzo poważną.

Również i „zapasy“ amerykańskie przeznaczone na ten cel. Słyszac o tem, sądził niejeden, że owe „zapasy“, to amerykańska mąka, tłuszcze, cukier i t. d., że będzie je można nabywać po dolczeniu pewnego procentu na rzecz „święconego“, zrzędia mu też mina, gdy się dowiedział, że są one gwoi rozradowania nie tyle cięta, ile ducha, choć na miejscu będzie i „amerykański“ bufet, zatem bez alkoholu.

Gdy jednemu ze znajomych, na jego zapytania jaki będzie program, oświadczyłem, że głównie z zakresu boksu, widocznie nie rozumiejąc mnie, zauważył z uśmiechem:

— Zwróć pan!... Zapasy boksu wywodzi już od nas ten czech-amerykański „Bat“, a jeżeli tego dotąd nie zrobił, stanie się to niezawodnie w najbliższym czasie, bo i jakoś śmiałyby nasz Rząd robić jakieś trudności „amerykańskiemu“ Czechowi, pochodzącemu w prostej linii od jednego z tych, którzy swojego czasu zagrali Kolumbowi „Kde domov můj“... gdy dobił do brzegów Nowego Świata...

Lecz tu nie chodziło o skórę, wyprawioną „na boks“, jeno o zapasy bokserskie, zatem Krakowiakni pospieszyli gromadnie do Ujeżdżalni na Zwierzyniecką, aby się przekonać, jak też wygląda taki *Carpentier* w miniaturze. *Karyerek* zrobił zeń bohater. Mężczyźni marzą o tem, aby zarobić bodaj setną część tego, co francuski szampion (dlaczego nie powiedzieć po polsku „pleczarka“?... przyp. zecera) i mieć takie jak on szczęście do kobiet, niewlasty byłyby rade znaleźć tak bogatego, zdrowego i przystojnego męża. Na razie, nie mogąc sobie pozwolić na wycieczkę do Paryża, musiano się ograniczyć na przyjrzeniu się popisom amerykańskich zapasników. Coś podobnego widział nasz stary Kraków po raz pierwszy i, kto wie, czy się nie zapalił tak do boksu, jak w karaawale do *fox-trotte'a* lub *two-steep'u*.

W każdym razie, gdyby nie wojna, wątplię, czy wogóle kiedy mieliśmy sposobność widzenia w Krakowie boksnających się Amerykanów i to całkiem autentycznych... Panu ministrowi skartu można było powiedzieć, że te zapasy urządzone na jego cześć, boć i on musi walczyć ciężko z deficytem.

Walka przecież walce nie równa!... Bokserzy dość się muszą namęczyć, nim jeden drugiego pokona, pan minister skarbu ma uproszczone zadanie: cia podnieście o kilkaset procent, podatki pomnóż kilkakrotnie i sprawa załatwiona. Gdy zaś ludność narzeka, powiada się:

— Tak być musiało!... Tego wymagała konieczność państwowa!...

Tak też, choć może nieco innemi słowy wyraził się pan Grabski za swej bytności w murach naszego grodu. Quaszczał nas z tem miem przeświadczeniem, że jeszcze tak źle nie jest, jak się mówi i pisze, bo jakoś dotąd dychamy.

Ale czy to długo potrwa?...

Niewiele brakowało, a byłby nas pan minister nie

mógł zaszczylić swemi odwiedzinami, w przeddzień bowiem jego przyjazdu miał wybuchnąć nowy generalny strajk kolejowy, na znak protestu przeciw „militaryzowaniu“ kolei. Mał być „generalny“, zrobił też generalną „klapę“. Agitatorem bolszewickim nie udało się tym razem. Miał to być strajk wybitnie polityczny. Nasi dzielni kolejarze, z wyjątkiem małej garstki zaślepionych, nie dali się przecież wziąć na lep słodkich a uludnych słówek i pracy nie zaprzestali, dając przez to dowód, że na naszym gruncie zasady bolszewizmu tak rychło i łatwo się nie przyjmą. Stwierdzili, że dobro Państwa leży im na sercu i stawiają je wyżej, ponad sprawy partyjne.

Gdy cały świat cywilizowany, nawet niecywilizowana Rosya, stara się o uniemożliwienie strajków, nasi domorośli komuniści przypominają się nimi stale pamięci.

Lud pracujący, który, dzięki Bogu, już przejrzał, powinien im, w dowód uznania tak „obywatelskiej“ pracy wypisać energiczne „pro memoria“, ale... na ich własnej skórze.

Obeszło się zatem u nas bez strajku, pan minister zdrowo przyjechał, szczerliwie odjechał, a co mówił o tem doniosły pisma codienne.

Dla upamiętnienia tej podniosłej chwili postanowili i krakowski magistrat podnieść cenę jazdy tramwajem na dwie marki za knrs, gazety zdrożały (marka za egzemplarz), więcej będzie się płacić i za listy i za telegramy.

Te podwyżki weszły w życie w dniu 1. kwietnia w sam dzień Wielkiego Czwartku, równocześnie zaś uroczystości „Prima Aprilis“... Niestety, teraz robi się wszystko seryo, nie zwiędziono nas zatem. Ale na tem możemy tylko dobrze wyjść. Oduczyliśmy się jeździć tramwajami, co nas ochroni od złodziejskich rekwizycji, na które w ścisłu było się naratonym, przyzwyczailmy się obchodzić bez gazet, co dodatnio wpłynie na stan zdrowia i humoru, a nikt dotąd nie umarł z tego powodu, jeśli listów nie pisał, lub nie telegrafował.

Rząd przez swoją politykę finansową uczy nas stale przestawiania na małym i obchodzenia się bez tego, co nam się dawniej wydawało koniecznem. Dziś widzimy, że byliśmy w błędzie i że spokojem stosujemy się do nowych zarządzeń, cofających nas przecież w dawno już przeżyte czasy.

Zatem w Wielki Piątek plechotą, nie tramwajem, poszło się na śledzia i na wysłuchanie nowin politycznych, skoro ich przeczytać nie można.

Szło się zaś z smutniejszą miną, niż we wilię Bożego Narodzenia, wówczas bowiem urzędnikom przyniósł „aniołek“ trzynastą pensję, a teraz tenże sam „śladgnął“ im różnicę, powstałą przez obliczenie przez kilka miesięcy marek po wyższym kursie, niż był istotnie.

Nie było też zwykłego po inne lata „wielkopłatkowego“ ożywienia, a humor był zupełnie „śledziowy“, choć bez śledzi, które wprowadziły, jak czytamy, jadą ciągle do Polski, jakoś ich przecież nie widać, i zamiast stać spadać w cenę, droższą z dnia na dzień. Skoro jednak drożeje wszystko, muszą, dla harmonii, podrozić i śledzie.

Smatno zatem było na ogół, a że to dopiero drugi kwiecień, więc każdy znalazł jeszcze w swej kieszeni jakiś zapasik gotówki, utarty przed czujnym okiem połowiczy, popijano więc, lecz nie z radości, bo to w Wielki Piątek nie wypada, ale „na zgryza“, aby zapomnieć o tem, co dolega i utopić robaka. Ale i ten szelma, dzięki wojnie, zahartował się należyście i tak łatwo rady dać mu nie można, na intensywnie zaś „trucie“ owego gada stosunki finansowe nie pozwalają!... Żyje zatem dalej na lndzkich strapieniach!...

W Wielki Tydzień ruch w knajpkach był nie najgorszy, w domu natomiast było cicho i głucho, jak powinno być w tym smutnym czasie. To jest... o tyle było cicho, o ile jejmość nie zabierała głosu, a jeśli kiedy, to właśnie w tym okresie w żaden sposób wygadać się nie może, aby zrzucić bodaj część zmartwienia i kłopotów, które obsłady jej serce niczem gąsienice główkę kapusty.

Niemą zatem i poco spieszyc w rodzinne progi, większą część czasu spędza się też poza domem, dyskutując zawiązłe o polityce wewnętrznej i zewnętrznej i wydając na gwałt korony, aby nie mieć kłopotu z ich stemplowaniem, którego się przecież doczekaliśmy.

Wstęp do świąt jakoś niezbyt oblecujący, a spodziewać się można, że i same świąta nie będą lepsze. Czytelnik, biorąc w rękę *Nowości illustrowane*, wie już, jak się bawił w tym czasie, kronikarz, pisząc te słowa, domyśla się tylko, że szósta Wielkanoc wojenna, a druga w niewolonej od nieproszonych gości Polsce, będzie jeszcze smutniejszą od piątej (ewentualnie pierwszej...). Uwagi na ten temat musi sobie przecież zostawić do przyszłego tygodnia, jako iż nie jest prorokiem i nie umie czytać w kartach przyszłości.